GLOBALNIE · ANALIZA

CHAOS W AMERYCE. BIDEN NA PÓŁMETKU SILNY PODZIAŁAMI REPUBLIKANÓW

Kacper Kita · 6 lutego 2023

20 stycznia minęła połowa kadencji Joego Bidena. Sytuacja 46. prezydenta USA jest niezła, a jego szanse na drugą kadencję poważne. Niedawne wybory „połówkowe" pokazały siłę społeczno-politycznej polaryzacji. Mimo niskiej popularności Bidena na dziś jednak to Republikanie są bardziej podzieleni od Demokratów. Po przejęciu Izby Reprezentantów prawica potrzebowała aż 15 głosowań, żeby porozumieć się i wybrać nowego przewodniczącego – poprzedni raz taki spektakl miał miejsce w USA w 1859 r., a po nim nastąpiła wojna domowa.

Jednocześnie najstarszy prezydent w historii USA musi zmagać się z kolejnymi oskarżeniami dotyczącymi m.in. ukrywania tajnych dokumentów w prywatnym domu. Amerykę czeka prawdopodobnie postępujący paraliż władzy federalnej i brutalna walka o Biały Dom.

Postępy polaryzacji. Co dzieli Amerykanów?

Na początku przypomnijmy podstawowe fakty na temat aktualnej sytuacji politycznej w USA. W styczniu minęły dwa lata rządów Bidena oraz rozpoczęła się nowa dwuletnia kadencja Kongresu. W listopadzie, dwa lata po poprzednich wyborach prezydenckich i dwa lata przed kolejnymi, miały miejsce „połówkowe" wybory parlamentarne i lokalne. W Senacie, gdzie wybierano 35 na 100 członków w 34 na 50 stanów, powiększyła się minimalna przewaga Demokratów (51 do 49, przez poprzednie dwa lata 50:50). Obejmujące cały kraj i wszystkich posłów wybory do Izby Reprezentantów wygrali Republikanie (51 % do 48 %), co przełożyło się na odbicie jej z minimalną większością na poziomie 222 posłów na 435 (dotąd identyczne 222:213 dla Demokratów). Demokraci odbili za to dwa stanowiska gubernatorskie, wobec czego Republikanie będą mieli 26 gubernatorów stanowych a Demokraci 24. Zamiast czerwonej fali mieliśmy więc ledwie czerwoną korektę.

> Sytuację w USA być może najlepiej podsumowuje jedna ze statystyk z powyborczych *exit polls*. Badanych zapytano, czy uważają którąś z partii za skrajną/ekstremistyczną (*extreme*). 52% wskazało na Republikanów a 51% na Demokratów, z czego 13% na obie partie. Zaledwie 7% uważa, że ani jedna, ani druga partia nie jest skrajna!

Mało oczywistą, a bardzo ciekawą daną jest różnica ze względu na płeć i stan matrymonialny, potwierdzająca prawicowy stereotyp. Republikanie mają bardzo dużą przewagę pośród mężów (59% do 39%), sporą wśród żon (56% do 42%) oraz istotną w gronie samotnych lub żyjących w nieformalnych związ-

kach mężczyzn (52% do 45%). Jak więc stało się, że Demokraci ponieśli tylko niewielką porażkę? Otóż Demokraci miażdżą rywali wśród ostatniej grupy – samotnych lub żyjących w nieformalnych związkach kobiet – 68% do 31%.

Oczywistym czynnikiem dzielącym Amerykanów jest rasa. Pośród białych pochodzenia europejskiego przewaga Republikanów jest wyraźna (58% do 40%), a na odwrót wygląda sytuacja wśród Latynosów (60% do 39%). Tradycyjnie jednoznacznie głosowali czarni – 86% do 13% na korzyść Demokratów. W porównaniu do wyborów z 2020 i 2018 roku Republikanie uzyskali lepsze wyniki w każdej z tych trzech grup. Stale maleje odsetek białych pochodzenia europejskiego w społeczeństwie, choć z drugiej strony ta grupa częściej chodzi na wybory. Mniej więcej w miejscu stoi odsetek czarnoskórych, rośnie za to liczba Latynosów i szeroko pojętych Azjatów (pochodzenia chińskiego, koreańskiego, induskiego, pakistańskiego etc.).

Tych przemian demograficznych nie byłoby, gdyby nie masowa pozaeuropejska imigracja, na którą USA otwarły się po 1965 r. Stosunek do imigracji to kolejna kwestia dzieląca amerykańskie zwaśnione plemiona. Wśród wyborców uważających, że imigranci „robią dziś więcej, by wspomóc USA", Demokraci mają przewagę 75% do 23%. Z kolei w gronie reprezentujących stwierdzenie, iż imigranci robią dziś więcej, by zaszkodzić USA", Republikanie wygrali 83% do 16%. Podobnie pośród tych, którzy uważają, że „rasizm jest dziś w USA wielkim (*major*) problemem", Demokraci zwyciężyli 73% do 25%. Wśród tych, według których rasizm jest „niewielkim" problemem, wygrali Republikanie 74% do 23%. Pomiędzy uznającymi, że rasizm nie jest dziś problemem, Republikanie zwyciężyli aż 87% do 11%.

Kluczową rolę dla politycznej przyszłości USA odgrywają więc Latynosi. Znajdziemy wśród nich ludzi o bardzo różnej tożsamości – od *woke* lewicowców uważających się za ofiary białych po amerykańskich nacjonalistów. *Exit polls* pokazują nam, że polityczne wybory Latynosów są w znaczniej mierze zdeterminowane przez ich wybory osobiste. Republikanie wygrali bowiem wśród Latynosów będących małżonkami (57% do 42%). Ba – pośród Latynosów mających i małżonka, i dziecko uzyskali przewagę aż 64% do 36%! Jednocześnie w gronie Latynosów niebędących małżonkami Demokraci zwyciężyli aż 67% do 33%.

Tak jak w całości populacji, małżeństwo lub jego brak robi większą różnicę u kobiet niż u mężczyzn. Teoretycznie nie-białe kobiety powinny być grupą jasno opowiadającą się za lewicą. W praktyce jednak wśród latynoskich kobiet, które są żonami, Republikanie byli w stanie minimalnie wygrać 50% do 49%. Równocześnie latynoskie kobiety samotne lub żyjące w związkach nieformalnych głosowały na lewicę aż 71% do 28%.

Nikogo nie zaskoczy, iż różnicę robią też innego rodzaju wybory osobiste. 7% wyborców identyfikujących się jako „osoby LGBT" głosowało 84% do 14% na Demokratów, podczas gdy wśród nieidentyfikujących się w ten sposób przewaga Republikanów była wyraźna – 53% do 45%. Każda statystyka jest oczywiście tylko pewnym przybliżeniem. Wśród nie-małżonków znajdziemy konserwatywne stare panny i kawalerów, porzuconych żony i mężów, zakonnice i księży etc. Do grona małżonków wliczeni są zaś np. homoseksualiści ze sformalizowanym związkiem jednopłciowym.

> Zasadniczo jednak widzimy, że Partia Demokratyczna opiera się na „koalicji wyzyskiwanych" – tych nie-białych, którzy czują się ofiarami białych, tych kobiet, które czują się ofiarami europejskiej kultury afirmującej małżeństwo i rodzinę, wreszcie „mniejszości seksualnych", które czują

> się ofiarami „heteronormatywności". Zbieranie „mniejszości" pozwala zebrać połowę głosów, a docelowo ma dać trwałą większość.

CZYTAJ TAKŻE: **Rok bez Trumpa, kłopoty Bidena. Co dalej z Ameryką?**

Rozpad wspólnoty i zaufania do instytucji

Liberalno-lewicowy optymizm tego rodzaju był najsilniejszy w okolicach 2008 r. i wyboru Baracka Obamy na prezydenta. Młody czarnoskóry prezydent miał personifikować zachodzące przemiany demograficzne i obyczajowe. Z każdymi kolejnymi wyborami miało być więcej nie-białych i więcej lewicowej młodzieży – czego chcieć więcej?Prezydentura Obamy oraz porzucenie przez establishment Partii Republikańskiej zasadniczych kwestii imigracji i kultury przyniosły jednak reakcję w postaci Trumpa. Milioner-celebryta zmobilizował przede wszystkim białą klasę pracującą. Republikanie przekonują do siebie jednak również sporo zasymilowanych Latynosów, którzy przyjęli amerykański patriotyzm oraz przyjęli lub zachowali podstawowe chrześcijańskie normy moralne. Do tej pory jednak poziom poparcia dla prawicy wśród Latynosów w wyborach ogólnokrajowych zawsze orbitował między 20% a 40% (rekord osiągnął George Bush w 2004 r.).

Po 2016 r. to niektórzy Republikanie – wówczas zdobywający Biały Dom, obie izby Kongresu i mający zdecydowaną większość wśród gubernatorów – zapałali historycznym optymizmem. Wydawało się im, że odkryli nową formułę, dzięki której będą zwyciężać przez lata. Oni również zostali szybko sprowadzeni na ziemię. Po porażce Trumpa znów to Demokraci liczyli, iż demografia przemówiła i od teraz będą wygrywać następne wybory. Republikanie zaś zawiedli się – wielkiej czerwonej fali nie było, mimo problemów gospodarczych oraz niskiej popularności Bidena. Każde kolejne wybory pokazują mechanizmy obronne amerykańskiego systemu politycznego i wbudowaną w niego równowagę między dwoma partiami. Jedni lub drudzy wygrywają jedynie niewielką większością, a gdy ktoś zyskuje przewagę, szybko ją traci. Jednocześnie oboje dorobili się swoich radykałów. Wraz z fragmentaryzacją rasową i ideologiczną zanika poczucie wspólnoty.

Wybory „połówkowe" zazwyczaj są sądem nad urzędującym prezydentem, w których zyskuje opozycja. Dlaczego tak nie było tym razem? Podstawową przyczyną względnego sukcesu Demokratów była wyjątkowo wysoka polaryzacja, dzięki której wybory nie były tylko referendum „za czy przeciw" urzędującemu Bidenowi, ale równocześnie głosowaniem „za czy przeciw" byłemu prezydentowi Trumpowi. Wyborcy „zdecydowanie pozytywnie" i „raczej pozytywnie" oceniający Bidena w ponad 90% zagłosowali na Demokratów, a „zdecydowanie negatywnie" oceniający go w ponad 90% zagłosowali na Republikanów. Jednak wśród „raczej negatywnie" oceniających Bidena aż 49% zagłosowało na Demokratów a 45% na Republikanów. Podobnie spośród „raczej negatywnie" oceniających stan gospodarki aż 62% zagłosowało na Demokratów a 35% na opozycyjnych Republikanów. Miliony Amerykanów są krytyczne wobec Bidena mającego jedne z najniższych poziomów poparcia w historii badań, ale jednocześnie uważają personifikującego establishment, sprawującego kolejne funkcje od ponad pół wieku 80-latka za mniej niebezpiecznego od Trumpa.

Podobny mechanizm pozwolił obecnemu prezydentowi wygrać również poprzednie wybory. W rywalizacji dwóch podobnie niepopularnych kandydatów często zwycięża ten, który jest mniej widoczny. W 2020 r.

Trump w swoim stylu starał się skupiać na sobie uwagę mediów każdego dnia. W tym samym czasie sztabowcy Bidena świadomie ograniczali liczbę spotkań z nim i występów publicznych, uzasadniając to pandemią koronawirusa. Dzięki temu były wiceprezydent wygrał jako opcja bardziej neutralna.

> 66% wyborców uważa, iż Biden nie powinien startować w 2024 roku, a 65% że Trump nie powinien tego robić. Jednakże prawdopodobnie to właśnie ci dwaj panowie zmierzą się ze sobą ponownie już za 21 miesięcy. Nie można wykluczyć skutecznego powrotu Trumpa, ale faworytem jest i będzie Biden. Reelekcja obecnego prezydenta pozostaje w opinii piszącego te słowa scenariuszem bazowym.

Prawica wymyka się z rąk Trumpa

Niezadowalające wyniki wyborów do Kongresu przyniosły falę krytyki Donalda Trumpa. Były prezydent wspierał w prawyborach Republikanów wielu kandydatów budzących kontrowersje z najróżniejszych powodów, za to deklarujących względem niego osobistą lojalność. Przykładowo kandydatem do Senatu w Pensylwanii wymyślonym przez Trumpa został Mehmet Oz, pierwszy w historii USA muzułmanin nominowany przez dużą partię (najstarsi górale pamiętają, że Trump w 2016 r. obiecywał zakaz wjazdu dla wyznawców Mahometa). Oz to chirurg, milioner i celebryta występujący kiedyś regularnie w programie Oprah Winfrey. Ma podwójne obywatelstwo, amerykańsko-tureckie, a w latach 80. odbył służbę w tureckiej armii, żeby je zachować. Ciągnęły się za nim też reklamowanie środków mających pomóc w błyskawiczny sposób stracić nadwagę czy zmienianie stanowiska o 180 stopni ws. ochrony życia nienarodzonego. To właśnie Oz stracił dla Republikanów jedyny mandat w Senacie, przez co stan w izbie wyższej przesunął się na korzyść Demokratów z 50:50 na 51:49.

Drugi w Senacie mandat, który Republikanie minimalnie przegrali, a na pewno mogli wygrać, to ten z Georgii. Tu również Trump postanowił wypromować podobnego sobie celebrytę spoza polityki – byłego futbolistę Herschela Walkera. Czarnoskóry sportowiec miał być nadzieją na sukcesy dla Republikanów i łączyć ponad podziałami. Skończyło się jednak groteskowo. Walker najpierw jako konserwatywny polityk mówił o tym, że wielkim problemem wśród czarnych Amerykanów jest brak ojca w domu. Później okazało się, że ma czworo dzieci z czterema różnymi kobietami.

Jego własny syn publicznie mówił, że Walker „nie wychowywał żadnego z tych dzieci, bo był zajęty uprawianiem seksu z innymi kobietami". Ten sam syn opowiedział o tym, iż Walker groził śmiercią jemu i matce oraz stosował wobec nich przemoc. Kłamstwem okazały się opowieści Walkera o służbie w policji. Okazało się wreszcie także, że deklarujący się jako obrońca życia nienarodzonego Walker przynajmniej dwukrotnie płacił swoim kochankom za aborcje. Oczywiście wokół Trumpa pojawiały się podobne historie – jak widać, jednak nie każdemu uchodzą płazem tak łatwo jak charyzmatycznemu nowojorczykowi.

Trump konsekwentnie nie chce też zostawić za sobą tematu rzekomo sfałszowanych wyborów w 2020 r. W prawyborach wypromował wielu kandydatów powtarzających za nim, że Biden zdobył prezydenturę wskutek oszustwa. Duża część z nich uzyskała wyniki poniżej oczekiwań w wyborach do Kongresu. Teoria o sfałszowanych wyborach przekonuje, a nawet cementuje dużą część bazy Republikanów, ale odpycha wielu mniej zaangażowanych wyborców decydujących o wynikach starć z Demokratami. W tej samej

Georgii, w której wyścig do Senatu przegrał Walker, tego samego dnia gubernator Brian Kemp – Republikanin – uzyskał reelekcję z bezpieczną przewagą 7,5 pkt. proc. Kemp w 2020 r. odmówił zaangażowania się w prowadzoną przez Trumpa „walkę z fałszerstwami", uznając oficjalne wyniki w swoim stanie, czyli minimalną wygraną Bidena.

Najjaśniejszym dla Republikanów punktem na wyborczej mapie była Floryda, gdzie reelekcję wywalczył gubernator Ron DeSantis. Wygrał z gigantyczną przewagą 19,4% pkt. proc., choć w 2018 r. pierwszą kadencję zdobył ledwie o 0,4 pkt. proc., a Trump wygrywał w tym stanie w 2016 r. o 1,2 pkt. proc i w 2020 r. o 3,4 pkt proc. 44-letni DeSantis, o którego wschodzącej gwieździe pisałem sporo w zeszłym roku, łączy w sobie wojnę kulturową z dobrymi wynikami gospodarczymi i profesjonalizmem. Unika też kwestii rzekomych fałszerstw w 2020 r. DeSantis jest oczywistym kandydatem do zastąpienia Trumpa. Badania pokazują jasno, że tylko on ma szanse skutecznie powalczyć z nim w prawyborach prezydenckich. Faworytka establishmentu Nikki Haley czy nijacy Mike Pence i Mike Pompeo mogą liczyć ledwie na kilka procent poparcia, a ich możliwe kandydatury nie emocjonują praktycznie nikogo poza zawodowymi komentatorami politycznymi.

CZYTAJ TAKŻE: Czy wyszehradzka prawica dotarła do Ameryki?

Jest jednak zupełnie nieoczywiste, czy DeSantisowi opłaca się rzucać wyzwanie Trumpowi. Gubernator jest politykiem młodym, który dopiero co został wybrany na kolejną kadencję i może rządzić sobie Florydą aż do stycznia 2027 r. Jego pozycja w trzecim najludniejszym stanie USA (22 miliony mieszkańców) jest naprawdę mocna – po ostatnich wyborach DeSantis dysponuje większością ponad dwóch trzecich w obu izbach parlamentu. Prawybory z Trumpem byłyby zaś brutalną walką pełną wyciągania najróżniejszych brudów i teorii spiskowych (Ted Cruz był oskarżany nawet o to, że jego ojciec zabił Kennedy'ego lub był Zodiakiem), w której mimo wszystko to były prezydent cieszący się poparciem oddanej bazy byłby faworytem. A nawet gdyby DeSantis wygrał, musiałby się liczyć z możliwością sabotowania jego walki z Bidenem przez Trumpa zamiast lojalnego wsparcia.

Jednocześnie jeśli DeSantis poczeka cztery lata, w 2028 r. jego droga do nominacji Republikanów może być prostsza. Na horyzoncie nie będzie już Trumpa, który w 2024 r. albo znów przegra i ostatecznie pożegna się z perspektywą powrotu do Białego Domu, albo wygra i później nie będzie mógł ubiegać się o trzecią kadencję. Jeśli zaś wygra Biden, w 2028 r. po ośmiu latach rządów starego, mało popularnego Demokraty szansa młodego Republikanina na zdobycie Białego Domu może być jeszcze większa – w USA często mamy na zmianę dwie kadencje rządów jednej i drugiej partii. Jednakże to teraz DeSantis ma wiatr w żaglach i szanse uzyskania wsparcia wszystkich partyjnych wrogów Trumpa, od establishmentu po narodową prawicę zawiedzioną rządami z lat 2017-21. Do 2028 r. może mu wyrosnąć niejeden konkurent w walce o prymat na prawicy. Nowego, świeższego przywódcę mogą też do tego czasu znaleźć sobie Demokraci.

DeSantis nie musi spieszyć się z decyzją. Na razie unika jednoznacznych deklaracji i obserwuje rozwój wypadków. Swój start ogłosił już za to Trump, chcąc wyprzedzić wszystkich, a potencjalnych rywali oskarżać o łamanie jedności partii. Niezwykle wczesny termin 15 listopada – tydzień po wyborach „połówkowych" – miał pozwolić byłemu prezydentowi ogrzać się w blasku sukcesu Republikanów. Spodziewanego tryumfu nie było, ale Trump nie chciał wycofywać się z raz złożonej deklaracji.

Znów awantura na Kapitolu

Partyjna prawica jest mocno podzielona w ocenie tego, czy lepszym kandydatem byłby Trump czy DeSantis. Wewnętrzne napięcia zobaczyliśmy wkrótce także w Kongresie. Najpierw bliski Trumpowi senator Rick Scott rzucił wyzwanie Mitchowi McConnellowi – rówieśnikowi Bidena, senatorowi od ponad 38 lat, liderowi Republikanów w izbie wyższej od ponad 18 (rekord dla dowolnej partii). McConnell wygrał głosowanie senatorów 37 do 10, lecz wewnętrzna opozycja zaznaczyła swoją podmiotowość. Równolegle Chuck Schumer został wybrany przywódcą Demokratów w Senacie na kolejną kadencję jednogłośnie.

Większym widowiskiem były wybory spikera (przewodniczącego) Izby Reprezentantów, w której większość zdobyli Republikanie. Zazwyczaj wybory przewodniczącego to formalność – ostatni raz spiker nie był wybrany w pierwszym głosowaniu sto lat temu, w 1923 r. Potrzebne było jednak aż 15 głosowań rozciągniętych na pięć dni, żeby wszystkie frakcje Republikanów zaakceptowały Kevina McCarthy'ego. W ramach wypracowanego z nimi porozumienia pozycja spikera będzie słabsza niż kiedykolwiek – m.in. każdy pojedynczy poseł będzie mógł zgłosić wniosek o jego odwołanie w dowolnym momencie kadencji, co wróży dwa lata niestabilności.

Zgodnie z prawem Izba nie mogła podjąć żadnych działań – nawet przeprowadzić zaprzysiężenia posłów – przed wyborem spikera. Podczas gdy Republikanie prowadzili wewnętrzną walkę, wszyscy Demokraci głosowali jak jeden mąż na swojego kandydata. Kolejne rundy wyborcze stanowiły przedsmak kolejnych dwóch lat również dlatego, że liczył się dosłownie każdy głos. Nagle decydujące dla ostatecznego wyniku okazywały się więc okoliczności losowe – a to jeden z posłów był nieobecny, bo pojechał na pogrzeb matki, inny musiał przejść operację, jeszcze innemu urodził się syn i potrzebował być przy żonie, która musiała zostać dłużej w szpitalu – i tak dalej, i tak dalej. A jednocześnie każdy z posłów-buntowników mógł stawiać McCarthy'emu osobne żądania dotyczące korzyści dla jego okręgu, planowanych ustaw czy obsady komisji parlamentarnych.

> Pięciodniowy spektakl nadszarpnął i tak wątły prestiż Kongresu w ogóle – parlament jako instytucja cieszy się według badań Gallupa zaufaniem społecznym na poziomie ledwie 7%. To najgorszy wynik na tle i tak słabych – dla porównania urząd prezydenta ma zaufanie 23% Amerykanów, gazety 16%, wielkie firmy 14%, stacje telewizyjne 11%. W erze rozpadu wspólnoty Amerykanie najprędzej ufają małym firmom (68%) oraz wojsku (64%).

Dodatkowym smaczkiem była przypadająca w środku zamieszania rocznica ataku na Kapitol z 6 stycznia 2023 r. Minęły już dwa lata, odkąd zwolennicy Donalda Trumpa, przekonani o sfałszowaniu wyborów, wdarli się do budynku parlamentu w trakcie formalnego uznawania ich wyników przez Kongres. To wydarzenie na długo pozostanie symbolem skali polaryzacji we współczesnych USA. Drugi ponury omen – poprzedni raz wskutek podziałów wewnętrznych tak długo głosowano nad wyborem przewodniczącego Izby w 1859 r. Wkrótce potem w Stanach Zjednoczonych wybuchła wojna domowa.

Warto przy tym podkreślić, że do przegłosowania jakiejkolwiek ustawy konieczna jest zgoda obu izb – czyli od teraz Republikanie i Demokraci są w stanie się nawzajem blokować. Co więcej, do przyjęcia większości ustaw potrzebna jest większość 60 na 100 senatorów ze względu na możliwość blokowania obrad nad nimi poprzez tzw. *filibuster*. Przy tym stopniu polaryzacji oraz bliskiej perspektywie wyborów prezydenckich wątpliwe więc, by przez kolejne dwa lata było możliwe wprowadzanie w życie jakichkolwiek

budzących kontrowersje, niecieszących się szerokim poparciem polityków obu partii ustaw. Samo funkcjonowanie rządu jest zapewnione do końca roku fiskalnego 30 września – do tego terminu Demokraci przegłosowali budżet mając jeszcze większość w Izbie i wypracowując porozumienie z częścią senatorów Republikanów. Już teraz problemem jest jednak dług publiczny. 19 stycznia rząd dobił do poziomu 31,4 biliona dolarów – czyli limitu ustanowionego przez Kongres. Żeby go podwyższyć, potrzebna będzie zgoda obu izb parlamentu. A więc zgoda przynajmniej części Republikanów. Na ten moment jednak opozycja oczekuje w zamian cięć w wydatkach. Wielu Republikanów atakuje ekipę Bidena, uważając, iż w nieprzemyślany sposób wyrzucają pieniądze, a po wyczerpaniu zapasów chcą pożyczyć jeszcze więcej, zamiast zarządzać budżetem odpowiedzialnie.

Według informacji podanych przez sekretarz skarbu (odpowiednik ministra finansów) Janet Yellen rząd jest w stanie funkcjonować do 5 czerwca. Później zaś nie da rady opłacać wszystkich emerytur, pensji i usług publicznych. Jeszcze nigdy w historii USA nie było takiej sytuacji. Prawdopodobnie przez te kilka miesięcy dojdzie do wypracowania jakiegoś porozumienia. Na razie jednak Republikanie mówią o nieodpowiedzialnych wydatkach Bidena odpowiedzialnych za kryzys gospodarczy, a Demokraci o bezdusznych Republikanach chcących odbierać świadczenia seniorom i weteranom (trochę jak u nas z oskarżeniami o chęć odebrania 500+ i podwyższenia wieku emerytalnego). Na tę ostatnią narrację czuły jest Donald Trump, który wbrew wolnorynkowej ortodoksji popularnej na amerykańskiej prawicy, wezwał, by w żadnym razie nie obcinać usług społecznych, zwłaszcza emerytur.

CZYTAJ TAKŻE: Nowy, lepszy Trump z Florydy? O co chodzi z ustawą „Don't Say Gay"?

Dwaj prezydenci, dwaj kryminaliści?

Obie partie oraz sprzyjające im media prześcigają się w oskarżeniach, przedstawiając w zależności od reprezentowanej opcji albo obecnego prezydenta Bidena, albo jego poprzednika Trumpa jako niebezpiecznego przestępcę. Wzajemna delegitymizacja –mająca miejsce ze względu na teorie spiskowe o Rosjanach odpowiadających za wybór Trumpa w 2016 r. i fałszerstwach na rzecz Bidena w 2020 r. – pogłębia się w ten sposób i wchodzi na wyższy poziom.

Republikanina obciąża w pierwszej kolejności atak na Kapitol, który przez ostatnie dwa lata był przedmiotem badania komisji śledczej w Izbie Reprezentantów. –Następnie przetrzymywanie tajnych dokumentów i niedostateczna współpraca ze służbami w tej kwestii, unikanie płacenia podatków (niedawno opublikowano zeznania podatkowe byłego prezydenta z lat 2015-20), wreszcie próba wymuszenia na władzach stanu Georgia „znalezienia" dla niego dodatkowych głosów podczas ostatnich wyborów prezydenckich.

Demokrata musi się z kolei tłumaczyć z najróżniejszych afer związanych z jego synem Hunterem, narkomanem i alkoholikiem wyrzuconym z wojska, który w latach 2014-19 był członkiem rady nadzorczej firmy Burizma na Ukrainie należącej do oligarchy Mykoły Złoczewskiego (ministra w rządzie Janukowycza, obecnie rezydującego w Monako). W 2016 r. Biden jako wiceprezydent doprowadził do dymisji prokuratora generalnego Ukrainy Wiktora Szokina oskarżanego o korupcję – później pojawiły się jednak teorie, że chciał jego odwołania, bo Szokin badał działalność Burizmy. Trumpowi jako prezydentowi zależało na wznowieniu śledztwa w tej sprawie, a w 2019 r. posunął się nawet do wstrzymania na kilka tygodni pomocy wojskowej dla Ukrainy. To za to Izba Reprezentantów kontrolowana przez Demokratów dokonała jego pierwszego *impeachmentu*.

W ostatnich tygodniach również w domu należącym do Bidena, użytkowanym także przez jego syna, znaleziono tajne dokumenty z czasów jego wiceprezydentury. Wcześniej znaleziono je też w jednym z waszyngtońskich think tanków. Prezydent zgodził się na przeszukanie domu przez FBI, inaczej niż Trump. Im bliżej wyborów, tym większej liczby podobnych afer i wzajemnych zarzutów można się spodziewać. Najbardziej zaangażowani wyborcy obu partii zyskują dzięki nim jeszcze więcej argumentów za delegitymizowaniem przywódcy wrogiego obozu. Przypomnijmy na koniec jeszcze raz daną dobrze podsumowującą stan USA na początku 2023 r. – tylko 7% Amerykanów uważa, że ani jedna, ani druga partia nie jest skrajna, a tym samym niebezpieczna.

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/chaos-w-ameryce-biden-na-polmetku-silny-podzialami-republikanow/

NIEZALEŻNOŚĆ KOSZTUJE

Utrzymują nas przede wszystkim czytelnicy. Dzięki nim możemy publikować analizy, których nikt nam nie zamawia, i zostawiać je otwarte dla wszystkich.

WESPRZYJ NAS

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć